

JÓZEF BARAN

Spadając, patrząc w gwiazdy (I)

(fragmenty)



2008

Radosna wiadomość

Dzięki uporowi dni, konsekwencji godzin, mrówczej pracowitości sekund i minut.

Dzięki wschodzącemu i zachodzącemu z niewykłą punktualnością słońcu, przychylnym i nieprzychylnym wiatrom, sprzyjającej i niesprzyjającej aurze.

Dzięki Bogu, dzięki starannie dopracowanym Przypadkom, a także dzięki temu, że wyginęły dinozaury, a uratował się jakiś bliżej nieznaną przaszczurek ssakowaty.

Dzięki milionom, miliardom, bilionom, trylionom i niezliczonej ilości sprzyjających i niesprzyjających zdarzeń, okoliczności kosmicznych, historycznych i lokalnych.

Dzięki harmonii sfer niebieskich, dzięki wszystkiemu, co się zdarzyło i nie zdarzyło, dzięki zegarom i kalendarzom, dzięki obrotom kuli ziemskiej...

Na przekór pesymistom, wbrew katastrofistom mimo że, pomimo wszystko i nie wiadomo dlaczego...

Nastał dla mnie 1 września 2008 roku i znów zastał mnie w Krakowie.

Uczta w podziemiach dworca

To nie wykwintne przyjęcie w hotelu „Bristol”, „Mariott” czy „Pałac Dożów”, gdzie panowie w smokingach, panie w wieczorowych kreacjach, kawiory, łososie, przepiórcze jaja, najdroższe gatunki trunków, ptasie mleczko, pieczone prosiaki i drób wszelaki, od którego uginają się stoły...

Nie. Po stokroć nie.

To betonowe podziemia dworca. W przejściu do krakowskiej „Galerii” sześciu bezdomnych meneli przyciśniętych przez

życie do ściany, z grubą babą pośrodku, która kroi bochenki na cieniutkie kromki, smaruje masłem, okrasza plasterkiem kiełbasy, serka topionego, ogórka kiszzonego ze słoika, doprawia musztardą, po czym sprawiedliwie dzieli smakołyki między członków komuny, kłęczących na rozścielonym kocyku – ze szklankami, do których jeden z nich, może szef, wlewa zdobyczne piwa...

Spóźnione śniadanie albo lunch, bo zegar wskazuje dwunastą, schludni klienci wchodzą i wychodzą przez oszklone drzwi do galerii i z galerii, mijając grupkę meneli-oberwańców, na twarzach których maluje się rozkosz podniebienia i wielka przyjemność wynikająca z jedzenia.

Można stanąć i cieszyć oczy (stoje i cieszę oczy), widząc pokancerowanych przez życie ludzi w tej jednej chwili w siódmym niebie, gdy zaspokajają elementarną potrzebę, która dla nich – jak dla nas – nie jest rutyną, lecz wspaniałą ceremonią przewodu pokarmowego i grających marsza kiszek.

Stoje, patrzę i też mi blogo na duszy...

Tak, jestem stuprocentowo pewien, przyglądając się, jak poruszają pracowicie i nabożnie żuchwami, chrzęszczą, chrupią, przeżuwiają kęs po kęsie, przepijając piwem, że ich skala przyjemności w tym momencie jest nie mniejsza, ba, jest nawet większa od skali doznań estetyczno-smakowych wykwintnego, bogatego towarzystwa biorącego udział w kolacji w pięciogwiazdkowym hotelu.

Dlaczego?

Bo ich pragnienie i głód są o wiele większe i mocniejsze od pragnień i głodów możliwych tego świata, a więc sytych. A ponieważ odległość od pragnienia do zaspokajania pragnień tak duża – tym większa radość spełnienia...

Jak to kiedyś powiedział Miron Białoszewski?

„Człowiek w kosmosie czy na kanapie w Wołominie ma tę samą skalę wyobraźni i uczuć”. A ja dodałbym: i podobną skalę doznań hedonistycznych.

Pępek pępków, czyli krakowiaczek ci ja...

Na spotkaniach autorskich bywam nazywany poetą krakowskim, czego przez długi czas nie lubiłem, bo primo: wydawało mi się, że jestem autorem wierszy uniwersalnych, a nie lokalnych, secundo: z krakowską mentalnością, z krakowskimi salonami i mieszcuchami przez długi czas miewałem na pieńku, podejrzewając ich o pewien rodzaj wyniosłej i nieczej świętoszkowości. Mimo że mieszkam tu od lat – parę słoików mojej duszy (jeśli dusza ma słoje) tuż przy rdzeniu (jeśli dusza ma rdzeń) pozostało borzęckich. Dowód? Odczuwałem zawsze mocniejszy związek z otwartymi przestrzeniami, Naturą, niebem usianym gwiazdami, lasem niż z zabytkami,

historią na Wawelu i krakowskimi kawiarniami. W Szwecji, gdy Anders Bodegård, tłumacz Szymborskiej i Gombrowicza, zapytał mnie, co już zobaczyłem w Sztokholmie, odpowiedziałem przekornie, że okoliczne lasy, jeziora i wysepki...

Myśląc o swojej tożsamości, podpisuję się pod słowami węgierskiego noblisty Imre Kertésza, który pisał: „mam wiele »ja« i wszystkie one obsługują to jedno: moje reprezentacyjne »ja«. Ale wszystkie moje »ja« – więc i »ja« sam – o nim właśnie wiedzą (wiem) najmniej. Jestem jak ziemia i nawóz na grządkach, a kwiat, któremu pomagam wyrosnąć, jest mi obcy; właściwie tylko z uprzejmości wobec siebie podziwiam go od czasu do czasu przelotnym spojrzeniem”.

W „Koncercie dla nosorożca” pisałem trochę podobnie: „Mam wrażenie, że jestem ruską babuszką, w której znajduje się kilkanaście innych coraz mniejszych. Ale która jest mną, z którą utożsamiam się najpełniej?”. To chyba zależy od roli, jaką w danym momencie muszę zagrać – dodałbym dzisiaj. Od czasu do czasu wyskakują też ze mnie tamten borzęcki zasmarkany pastuszek uczepony krowiego ogona, choćbym go ukrywał w sobie, więził, głodził i stroił w erudycję, tytuły i garnitury...

Zresztą, czy jestem wyjątkowy? Każdy wrażliwy człowiek składa się z wielu „ja”. Tylko ludzkie nosorożce pozbawione wrażliwości – na przykład większość polityków – są tak zamaskowane i żyją za tak grubą szybą dyplomacji, że nie ma do nich dostępu.

Niedawno jedna z internetowych krakowskich witryn poprosiła mnie o wypowiedź, czy czuję się krakowianinem i czym krakus różni się od mieszkańców innych miast. Pytania nie za mądre, ale myślałem, myślałem i odpowiedziałem. Choć na wstępie zastrzegłem, że z dużą podejrzliwością przysłuchuję się próbom uogólnień, że krakowianie są tacy, a warszawianie, opolanie czy poznaniacy – inni.

Zresztą, choć mieszkam w Krakowie już ponad 30 lat, czy czuję się krakusem? Ile lat musi się tu żyć, by zasłużyć na to miano? Większość najznakomitszych artystów, aktorów, poetów, naukowców z grodu nad Wisłą, których znam, to przyjezdni rodem z miasteczek i wsi małopolskich czy innych miast i regionów. Ściągnęła ich magnetyczna legenda stolicy kultury polskiej albo są dziećmi chłopów lub robotników przybyłych tu, by budować „pomnik socjalizmu”: Nową Hutę.

Istnieje taki stereotyp, że krakusy nie lubią warszawiaków... To też nie bardzo sprawdza się na moim przykładzie, bo „w stolicy miewałem wypróbowanych przyjaciół i dobrych znajomych (wśród pisarzy: Artura Sandauera, Mariana Pilota, Edka Redlińskiego, Mirona Białoszewskiego czy Wiesława Myślińskiego).

cdn.